Aleksandra Dobkiewicz

Populus

„Doszło do tego, że siedzę pod drzewem,
na brzegu rzeki,
w słoneczny poranek.
Jest to zdarzenie błahe
i do historii nie wejdzie".
Wisława Szymborska *Może być bez tytułu*

Tulę twarz do kory. Dolna partia pnia ma kształt stożka i jest tak bardzo rozłożysta, że nie mogę stanąć stabilnie, dlatego ciałem opadam ciężko na pochyłą powierzchnię drzewa. Aby zupełnie nie stracić równowagi i ugruntować się, stojąc pomiędzy wystającymi z ziemi wężowymi korzeniami, stopami próbuję wyczuć jakąkolwiek płaską przestrzeń. Ręce mam skulone pod sobą. Nawet gdybym chciała objąć najstarszy ze słojów olbrzymki, musiałabym poprosić o pomoc innych środowych wagarowiczów. Może parę, która wtula się w siebie na pobliskiej ławce otoczonej pustymi flaszkami niczym posągami z Wyspy Wielkanocnej i w błogim znudzeniu przygląda się moim wygibasom. I dodatkowo przywołać z powrotem opalonego praskim słońcem chłopaka, który jeszcze przed momentem wpatrywał się wraz ze mną w tę parkową czarownicę. Kilka chwil wcześniej podszedł do mnie delikatnie jak do sarny, powiedział, że nie trzeba się bać, po prostu stanął obok i przez chwilę oboje podziwialiśmy drzewo tak, jak ogląda się doskonałą rzeźbę.

Rzeźbę nieuchwytną jednym spojrzeniem, dlatego co chwilę przenosiliśmy wzrok – od linii, gdzie pień styka się z ziemią, poprzez całe jej potężne ciało, bukiet liści, do miękkich pędów, lotnych wysiółków, które łączą ją z niebem. Próbowaliśmy wyobrazić sobie jej system korzenny, a z nim podziemne miasto, którego jej korzenie są budulcem. Miasto, które żyje z dala od naszych oczu i z dala od naszych reguł. I o którym, choć jesteśmy przecież tak mądrzy, nie wiemy prawie nic.

Podziwialiśmy wszystkie znakomite detale jej sylwetki: pociętą głębokimi rowami i poprzetykaną dziesiątkami zużytych pajęczyn szarobrązową korę; poziome zagłębienia w pniu, stanowiące naturalne półki dla tworzącej się rudej ściółki parkowej; ogromną dziuplę, do której swobodnie można by włożyć głowę i przyjrzeć się jej celulozowym trzewiom, i wyrastające od podstawy, wzdłuż całego pnia, strzeliste witki. Praski włóczykij opowiedział mi o trzech miesiącach, kiedy mieszkał w samochodzie i udowadniał sobie, że tyle przetrwa, żywiąc się jedynie lasem. I o podgrzybkach, których szuka nocami z latarką odbijającą biel nóżek. Wytłumaczył, że dorodne żółte grzyby, wyrastające poziomo

na korze tego kompletnego i wciąż powstającego arcydzieła, to pewnie łuskwiaki. Choć nie wie, które dokładnie. Postał ze mną jeszcze przez chwilę, a potem odszedł.

Okrążyłam drzewo. Zinwentaryzowałam nowe pędy, oceniłam wzrost starszych, stan skaleczeń i obumarć. Przyglądałam się kształtowi korony, rozkładowi największych gałęzi, skalibrowałam gęstość listowia. Potem podeszłam do pnia, przylgnęłam do niego i rozpoczęłam leśną kąpiel.

Tulę twarz do kory. Jestem tylko tu. Czuję, jak skóra drzewa odciska się na mojej. Czuję na policzkach grudki napuchłego wilgocią rudego pyłu. Czuję zapach pierwszych suchych liści, które ona zaczęła przezornie zrzucać mimo środka lata. Czuję wiatr. Mnie ledwo liże, ale wprawia w ruch jej blaszane listki i szumi nimi niczym perfekcyjnie zsynchronizowaną sekcją smyczkową. Czuję promienie słońca. Przebijają się przez jej leciwą koronę, rozsypują kulki światła na trawie i przyjemnie rozluźniają moje i jej mięśnie. Czuję się dobrze. Czuję, że tu pasuję.

Dla mnie jest idealna. Podziwiam ją za wytrwałość. W czasie jej młodości po Wiśle pływały jeszcze żaglowce. Widziała, jak do miasta wjeżdżały pierwsze automobile. Słyszała bombowce, pochody pierwszomajowe, maratony i półmaratony, martwą ciszę pandemiczną. Przetrwała nawałnice, uchylała się piorunom, nie ugięła się pod zwałami śniegów w czasie wszystkich zim stuleci, przeczekała susze.

Podziwiam jej witalność. Jej gałęzie, choć drastycznie przycięte, są długie, rozłożyste i gęsto porośnięte listkami. Wiosną nadal bujnie kwitnie. Choć to park, a w parku nie toleruje się samowoli, ma wokół siebie kilkoro młodszych krewnych. Jestem pewna, że jej rodzina wykracza daleko poza granice dzielnicy, że wiatr i ptaki wspomagają jej płodność.

Podziwiam jej spokój. To, że kiedy my wiosnami rodzimy się, jesieniami starzejemy, a wraz z końcem roku umieramy, kiedy, żeby spowolnić ten cykl, stajemy się głośni wybuchami miłości, triumfów lub rozpaczy, ona stoi i szumi. I być może nawet nas nie zauważa.

Zachwyca mnie jej piękno. Nie proporcje, jędrność czy uroda. Grupa przedszkolaków, która właśnie przechodzi obok, pewnie zgodnie uznałaby, że nie jest to najładniejsze drzewo w praskim parku. Jej czar kryje się w tym, jak harmonijnie łączy pozorne przeciwieństwa – jak jest silna siłą byka i delikatna giętkimi pędami, jak jest doświadczona wiekiem i młoda każdą kolejną wiosną, jak zużyte i spracowane jest jej ciało i jak żywo zielona, błyszcząca jest jej aura.

Ale ludzie nie lubią topól. Twierdzą, że poza cieniem nic z nich nie można uzyskać. Że wiosną zaśmiecają asfaltowe chodniki klejącymi pąkami i tłustymi bordowymi kwiatami i przysparzają dodatkowych zadań firmom porządkowym. Że chwilę później rozpylają topoli puch, który alarmuje systemy immunologiczne i zatyka nosy na długie tygodnie. Że rosną zbyt wielkie i przerażają swoją posturą i cieniem, który rzucają na miasto. Że szybko butwieją i wymagają bardziej kompleksowej niż inne dendrony opieki służb miejskich. Że łamliwymi gałęziami powodują szkody, czym generują dużo pracy firmom ubezpieczeniowym, które muszą potem te szkody rozliczać. Że przypominają

o latach PRL-u, kiedy sadziło się je masowo, by szybko zazielenić kopcące postępem miasta, a to czasy, o których nie chcemy pamiętać. Wreszcie że ze względu na niewystarczającą twardość drewna nie można ich urzeczowić, przerobić na mebel czy parkiet.

Ludzie nie lubią topól. Ludzie wolą miodne lipy, które swym kwitnieniem wyznaczają koniec okresu mroku i początek sezonu grillowego; romantyczne wierzby, które ronią łzy do miejskich stawów i które, ogłowione, ochoczo pozują do nudnych landszaftów; silne jak dąb dęby o ludzkich imionach jak Konrad czy Stefan i nasadzane jubileuszowo w imię pamięci dokonań człowieka; jabłonie o soczystych owocach sławiących Polskę na całym świecie; no i tuje, którymi można sprawnie ustanawiać i egzekwować granice.

Obdarzenie afektem topoli budzi zaś niezrozumienie. Przecież to drzewo zwyczajne. Nijakie, pospolite. Tymczasowe. Nie nadaje się do ulokowania symboli, nie pasuje do narracji wielkich opowieści, nie może stać się bohaterką, która udźwignie ciężar i odmieni los. Dzisiaj, w najlepszym razie, topole się ignoruje. W najgorszym – nienawidzi się ich.

To dzisiaj. Jeszcze wczoraj topole przepełniała magia. Ze względu na kontrastujące odcienie wierzchniej i spodniej strony liścia topole białe symbolizowały dwoistość. Ten niezwykły wygląd zyskały, gdy z Hadesu po wykonaniu ostatniej, dwunastej pracy – pojmania Cerbera – wracał zwycięski Herakles. Wieniec z topoli, który miał na głowie, na zewnątrz czarny jak śmierć, od wewnątrz od chwalebnego potu odbarwił się na srebrzystobiało. Odtąd biała topola stała się symbolem bohaterstwa, a w Rzymie samego Herkulesa.

Grecka nazwa topoli, *leuke*, powstała od imienia nimfy, którą do Hadesu sprowadził zakochany w niej bóg świata zmarłych. Według jednej wersji mitu Leuke uschła, tęskniąc za światłem słonecznym, a Hades zasadził ją w zaświatach jako topolę białą. Według innej, odtrąciwszy agresywnego zalotnika, nimfa porzuciła swoje ciało i sama zamieniła się w drzewo. Topole białe porastały i były symbolem Elizjum – szczęśliwej części podziemnego świata, krainy wiecznego dnia, pełnej muzyki i zabaw. Dedykowano je również Księżycowi i sadzono przy grobach i pomnikach. Zaś przez dwukolor liści, wyrażający odmienność dnia i nocy, przypisywano je także Chronosowi.

Geneza topoli czarnych jest równie dramatyczna. Olimpijscy bogowie z litości zamienili w nie Heliady, opłakujące śmierć swojego brata Faetona, który tak nieporadnie powoził rydwanem Heliosa, że zagroził pożarem niebu i ziemi. By ratować świat, Zeus strącił piorunem i zabił Faetona, a czarne topole zaczęły odtąd płakać gęstym sokiem w kolorze bursztynu.

W kulturze chrześcijańskiej szczególne miejsce zajęła osika, odmiana topoli, której listki, ze względu na spłaszczony kształt nóżek, łatwiej niż inne listowia wprawiane są w ruch i na wietrze sprawiają wrażenie trzęsących się. To nieustające drganie miało być wyrazem strachu albo wstydu drzewa. We flamandzkiej legendzie o ukrzyżowaniu osiki jako jedyne nie ucichły pokornie po śmierci Chrystusa. Za karę kazano im szumieć na wieki i milknąć jedynie na kilka chwil w wieczór Wielkiego Piątku. Według śląskiej

legendy z drewna osiki powstał krzyż, na którym umarł Syn Boży, według kolejnej na takim drzewie powiesił się Judasz.

Pozostałe gatunki topoli miały w opowieściach biblijnych bardziej chwalebną rolę. We Flandrii przekazywana jest historia o białej topoli, pod którą Maryja miała przewijać dzieciątko w drodze do Egiptu. Słońce natychmiast rozświetliło drzewo i liśćmi, jak tysiącami lusterek, odbiło światło na korze, na zawsze pozostawiając na niej jasne plamy.

Polską nazwą *topola* posługujemy się w niezmienionej formie od czasów prasłowiańskich. Nasza *topola* pochodzi od łacińskiego *populus* i prawdopodobnie jest pamiątką kontaktów Słowian z Rzymianami. To zastanawiające, że to samo łacińskie słowo jest przypisane także nam, ludziom, jako określenie wielu fundamentalnych form zbiorowości: grupy, plemienia, narodu, państwa czy społeczeństwa. W niektórych językach jego wariację słyszymy nadal w oryginalnym znaczeniu, jak we włoskim *popolo*. W języku polskim *populus* pobrzmiewa w słowach *populacja* i *popularność*.

Istnieje hipoteza, że całe to etymologiczne zamieszanie to tylko zbieg okoliczności. Że zbitka prostych sylab utworzyła dwie nazwy niezależnie od siebie i rozłącznie toczyła przez wieki. I *populus* i *populus* to dwa odrębne słowa. Tak samo jak *mina* i *mina* albo *para* i *para*. Wedle drugiej teorii, w starożytnym Rzymie topolami, które dawały gęsty cień, obsadzano publiczne miejsca spotkań i z tego powodu drzewo przejęło nazwę funkcji przestrzeni.

Pojawił się też pogląd, zgodnie z którym te dwa znaczenia powstały następczo, tyle że w odwrotnej kolejności. Najpierw *populusem* nazwano drzewo. Potrzeba nadania nazwy nam – człowieczej zbiorowości – pojawiła się o wiele później. Szukano imienia znaczącego, takiego jak Aléxandros (obrońca ludzi), Bonaventura (dobry los) czy Bogumiła, które, tak samo w jak w przypadku nadawania imienia dziecku, będzie potwierdzeniem naszej tożsamości oraz stanie się wróżbą, błogosławieństwem. Szukano imienia, które poświadczy naszą przeszłość i przypieczętuje przyszłość. A nasi prarodzice chcieli, by imię ludzi nierozerwalnie powiązało nas z przyrodą, upamiętniało mistyczny pierwiastek, który w sobie nosimy i podkreślało nasze podobieństwo względem siebie.

Nazywamy się *populus*. Nie robimy dobrego pierwszego wrażenia. A czasem jakiegokolwiek, bo choć jesteśmy wszędzie, bywa, że pozostajemy niezauważeni. Rzadko siani z rozmysłem, lokujemy się gdziekolwiek: w przejściach, na nieużytkach, poboczach. Rozpleniamy się chaotycznie, wzrastamy nierówno. Sprawiamy wrażenie bezładnej masy. Łatwo więc przeoczyć, że ta masa to rozczłonkowane jedno, nierozrywalne jedno. Że ta masa żyje. Żyje wszystkimi siłami. Żyje nie dla jakiegokolwiek innego celu, ale właśnie dla życia. I życie nazywa sensem życia.

Jak każdy organizm, mamy wpisany w siebie określony, nieważne, czy foto-, czy chemotroficzny, porządek. Składamy się z węgla, wody, łez, śliny, potu, ze zmagazynowanego pokarmu, przetrawionego pokarmu, z niewydalonych resztek. Z praw fizyki, prawd wiary, przekonań, przeczuć, przebłysków, doświadczeń starszych słojów. Reguł kolizyjnych, procedury awaryjnej, zasad reanimacji. Z ciała. Kruszymy się, łamiemy, trzeba nas składać.

Czasem udaje nam się wygoić i zabliźnić, czasem wymagamy podpory. W ostateczności porzucamy zbutwiałe ramię i ratujemy, co się da.

Mamy duży apetyt. Kiedy tylko osiągamy stan optymalny, znów nieważne, czy nazywany homeostazą, czy dobrobytem, zaczynamy gromadzić, rozpychać się, pączkować nadmiarowo, obficie owocować, grodzić i chronić posiadanie. To wtedy bywamy agresywni, okrutni. Ale potrafimy też kierować się miłością. Otaczać troską, dawać cień, mimo że sami stoimy w słońcu.

Choć rzadko przyglądamy się tej części siebie, nadal nosimy w sobie magię: w chwilach szczęścia i w chwilach rozpaczy porzucamy język codzienny i mówimy wierszem. Kiedy przestają nam wystarczać słowa, rozmawiamy menuetem, walcem albo flamenco. Do korpusów przytwierdziliśmy skrzydła i, już bez strachu przed zmoczeniem ich, nad taflami oceanów ścigamy się z albatrosami. Wystrzeliliśmy się do gwiazd i szukamy w nich tego, co tam na nas czeka. Nieustannie ulepszamy eliksir wiecznego życia i wiecznej młodości, bo tak bardzo ciekawi nas to, co już nie jest nam pisane. Spod warstw zdarzeń odkrywamy reguły, które nami kierują i coraz sprawniej odwracamy je na naszą korzyść. Jesteśmy o krok od umieszczenia siebie w metalowej blaszce poprzeplatanej żyłkami przetaczającymi jedynie zera i jedynki. Prawie jak równy z równym rozmawiamy z prawdziwym albo zmyślonym stwórcą topól, ziem i reguł.

Mogłoby się wydawać, że to niemożliwe, by w jednym łączyć tak odmienne jakości, ale tak jak istnieje liść o przeciwstawnych energiach, tak my jesteśmy magiczni i zwyczajni jednocześnie. Boscy i powszechni: podobni do siebie, powtarzalni, pospolici. Nie w ten sposób, którego należałoby się wstydzić, przyspieszyć, nadrabiać, udowadniać swoją wartość. Jesteśmy pospolici jak pokrzywa i siła, z jaką wzrasta, zagarnia przestrzeń i pożywienie, i tak przygotowana, wybucha kolorem, zapachem i jadem; jak mniszki lekarskie, które odważnie wysyłają w nieznane swoje latawce; łubin, który zasiedlając nieprzyjazne miejsca, przygotowuje je dla bardziej delikatnych stworzeń; dziarska babka wyrastająca spomiędzy chodnikowych płyt i nic nierobiąca sobie z ciężaru butów; stadny perz, który każdy nowy obszar zajmuje wspólnie z rodziną i przyjaciółmi; albo waleczna koniczyna, która nie daje się łatwo przegonić z raz zdobytego terytorium.

Myślę, że parkowa czarownica nic nie robi sobie z tego, że jesteśmy imienniczkami. I że dzięki niej możemy mieć wgląd w to, o czym prawie albo zupełnie zapomnieliśmy. Ani nawet że ludzkość chyba zreflektowała się, bo niedawno odwiedzili ją eksperci, ocenili eksperckim okiem, zmierzyli w pasie (703 centymetry) i pisemnie potwierdzili „bardzo dużą wartość przyrodniczą, naukową, kulturową i krajobrazową" drzewa. Że płynęły w jej sprawie wnioski i wydawane zostały uchwały. Że decyzje pociągnęły za sobą skutki finansowe dla miasta stołecznego Warszawy w kwocie trzydziestu pięciu złotych, które wydano na jej oznakowanie i że pozostałych kosztów w chwili obecnej nie można oszacować. Ale – że budżet jest gotów te koszty pokryć.

Bibliografia

Encyclopedia Britannica, www.britannica.com.

De Cleene, Marcel, Marie Claire Lejeune. *Compendium of symbolic and ritual plants in Europe,* Vol.1. *Trees and shrubs*. Ghent: Man & Culture, 2003.

Graves, Robert. *Mity greckie*. Kraków: Vis-a-vis/Etiuda, 2009.

Kaczor, Idaliana. *Kult drzew w tradycji mitologicznej i religijnej starożytnych Greków i Rzymian*. W: „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Litteraria Polonica", 3 (2001).

Rysunek – Marek Chaczyk